39106

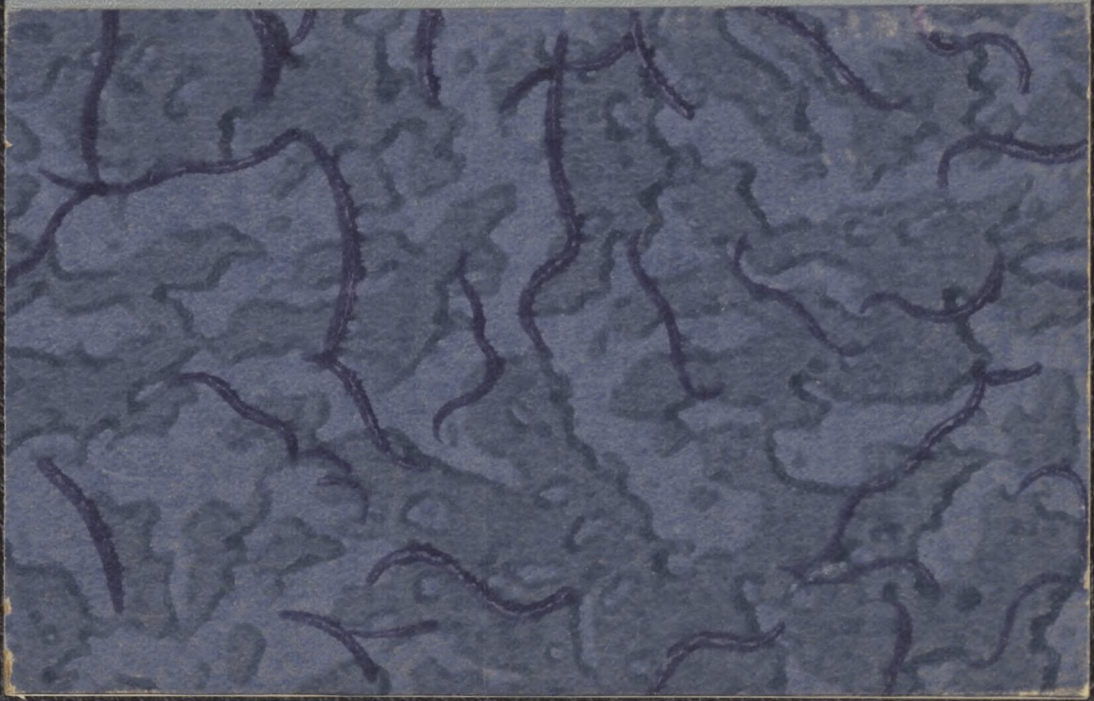

T.39.106 R-8I

GWIAZDKA
DLA DZIECI

przez

W. R.

WARSZAWA,
W DRUKARNI ALEXANDRA GINS.
1859.

W. R. 4² 26.

GWIAZDKA DLA DZIECI.

CWIAZDKA DLA DZIECI.

GWIAZDKA
DLA DZIECI

przez

W. R.

WARSZAWA,
W DRUKARNI ALEXANDRA GINS.
1859.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby exemplarzy.

w Warszawie d. $^{9}/_{21}$ Sierpnia 1858 r.

p. o. Starszego Cenzora, Assessor Kollegialny, *A. Broniewski.*

I. 39. 106

12870 Bat.

STEFANII, KAZIMIÉRZE I JÓZEFIE

SIEKACZYŃSKIM

ofiaruje

AUTOR.

Do Dzieci.

O dzieci lube! drogie moje dzieci!
Pókiście w kwiecie młodości,
To dla was słońce jasnym blaskiem świeci,
Każdy dzień pełen radości.

Na łonie ojca, przy sercu matki,
Ciągłéj doznając pieszczoty,
Nieznacie losu mieszkańca chatki,
Nieznacie losu sieroty.

Uśmiech na ustach, radość na twarzy,
W duszy i w sercu swoboda,
Pełne radości oko się żarzy,
Na czole waszym pogoda.

Życie wam mlekiem, miodem popłynie,
Gdy pójdziecie drogą cnoty;
Tak wam zakwitnie, — jak niegdyś w Rzymie,
Kwitnął mieszkańcom wiek złoty.

Wiara w dzieła Bozkiéj Opatrzności,
To powinność dla was święta;
Pan Bóg was dziatki stworzył z nicości,
Pan Bóg dziś o was pamięta.

Jemu należne hołdy składajcie,
Proście o pomoc dla siebie,
I pobożnemi usty śpiewajcie:
„Ojcze nasz któryś jest w niebie.“

Po Bogu, — ojca, matkę czcić trzeba,
Jeżeli dziateczki chcecie:
Błogosławieństwo pozyskać nieba,
By żyć szczęśliwie na świecie.

Jak ogrodnik młodéj latorośli
Dogląda, o wzrost jéj dbały,
Pragnie by bujnie drzewka porośli,
I hojny owoc wydały.

Tak i rodzice dla szczęścia dziatek,
Wszystko poświęcić gotowi,
By dobry owoc z serc dobrych matek,
Oddać w usługi krajowi.

Cnota i honor, prawość sumienia,
W jednéj postępują parze,
I całe szczęście ludzkiego plemienia,
Na ich spoczywa filarze.

Tą drogą tylko idąc do celu,
Łatwo do niego dojdziecie,
I wśród zaszczytnych przymiotów wielu,
Szacunek, przyjaźń znajdziecie.

Módlcie się Dziatki.

Jeszcze się gwiazdy w przestrzeni lśniły,
A już skowronka dziękczynne pienia,
O modre górnych niebios sklepienia,
Dźwięcznym się nieraz echem odbiły.

A kiedy takie wątłe stworzenie,
Skowronek, — nędzna ptaszyna,
Od chwały Bożéj ranek zaczyna,
I wielbi Stwórcę przez swoje pienie;

Tém bardziéj człowiek, w każdéj potrzebie,
W jakiéjbądź życia swego kolei,
Zaufa niebu pełen nadziei,
Ten pewno szczęście znajdzie dla siebie.

O dziatki! dziatki! złóżcie rączęta,
I wznoście k'niebu dziękczynne pienia,
Tam szczere chęci, szczere westchnienia
Wasze, Stwórca wszechświata spamięta.

Bóg wasze serca przyjmie w zadatek,
Proście Go tylko usty szczeremi:
O pomyślność dla rodzinnéj ziemi,
Dla waszych ojców i dla waszych matek.

Ziemia nas żywi, ona chléb daje,
Ona nas dźwiga na własném łonie,
Nie dość za życia, jeszcze po skonie,
Przytułkiem naszych prochów się staje.

Rodzice o byt dziatek troskliwi,
Ileż to trudów dla was ponoszą?
Nawet ubóstwo dla nich roskoszą,
Abyście tylko byli szczęśliwi.

O wznoście, wznoście niewinne głosy,
Łączcie z aniołmi pokorne pienia,
Na wasze prośby i dziękczynienia,
Otworem zawsze stoją niebiosy.

ŻEBRAK.

BIBLIOTEKA NARODOWA

Żebrak.

Byłem podówczas młody, tak jak wy dziś dziatki;
Oddalony od domu, od rodzinnéj chatki,
Od znajomych, przyjaciół, pokrewnych daleki,
Zostawiony sam sobie bez żadnéj opieki;
A jednak jak widzicie, z łaski Opatrzności,
W czerstwém zdrowiu sędziwéj doszedłem starości.
Odkrył głowę, wzniósł dłonie, — widać Boga chwali,
Po skończonéj modlitwie, zaczął mówić daléj.

Kochane moje dziatki, — jak już powiedziałem:
Od niemowlęctwa ojca i matkę nieznałem.
Rodzic w czasie napadu w mury Sandomierza
Szweckich wrogów, — poległ z honorem żołnierza;
A matka zostawiona w rozwalinach grodu,

Niemogąc zapracować, w nędzy zmarła z głodu.
W czwartym, czy w piątym roku sierotą zostałem,
I odtąd całe życie po cierniach stąpałem.
Ale przysłowie niesie: „kogo Pan Bóg stworzy,
Doda sił, wytrwałości, z głodu nie umorzy.“
Kiedy już szesnasty rok życia skończyłem,
Odstąpiwszy od pługa, karabin chwyciłem;
Zwiedziłem morza, lądy, dwie półkule świata,
Walczyłem z bronią w ręku czterdzieści dwa lata.
Świadczy dziś me kalectwo, świadczą moje blizny,
Żem w pracy, nie w próżniactwie doczekał siwizny,
Krew stygnie dziś mi w żyłach, oddech kona w łonie,
Na samo to wspomnienie: trza wyciągnąć dłonie,
Po wsparcie, po jałmużnę na kawałek chleba;
Dopóki duch kołacze, ciało żywić trzeba.
Biédny najczęściéj wesprze, brata się nie wstydzi,
Bogaty wzrok odwróci, zelży i wyszydzi.
Kto poznał niedostatek, kto uczuł cierpienie,
Kto szedł w zapasy z głodem, kto wié co pragnienie,
Kto wreszcie jak to mówią: groszem biédę goni,
Przynajmniéj radą wesprze, cichą łzę uroni.
Pańskie oko nieścierpi widoku nędzarzy,

Gdyż nędza piętno swoje wykuwa na twarzy.
O przesądzie! — wszakżeśmy jednéj matki dzieci,
Cóż on winien że słońce jasno mu nie świéci?
Cóż on winien że biéda żądłem go swém bodzie?
Cóż on winien że mitry niéma w jego rodzie?
A chociaż tytułem, majątkiem niesłynie,
Jedno serce, jedna krew w żyłach jego płynie.
Bywa często, — że taki co się w nędzy rodzi,
Szczęśliwszy od bogacza, choć w jedwabiach chodzi;
Gdyż nieskażony honor i prawe sumienie,
To mi jest klejnot w rodzie, to prawdziwe mienie.
Przytłumione westchnienia słowa mu przerwały,
Oparł głowę o kamień, — krople łez spływały.

Anioł Stróż.

Na dworze wiatr wieje, deszcz jak makiem sieje,
W okna pochylonéj chaty;
Już północ kur pieje, słaby ogień tleje,
W kominie szczupłéj komnaty.

Skostne ręce rozgrzewa, ze znużenia omdlewa,
Staruszka obok Maryli;
To drzymie to ziéwa, to kołysze, to śpiéwa,
A dziecię płacze — i kwili.

Z Bogiem wchodzi w przymierze, i modli się szczerze,
I z trwogą patrzy na stronę,
Wyciąga szkaplerze, do sinych ust bierze,
I mówi: „Pod Twą obronę.“

Hałas jakiś na dworze, — i w przyległéj komorze,
Doszedł do uszu staruszki;
Może zbójcy, może? — co pocznę o Boże!
I skryła dziecię w pieluszki.

Ogień podłożyli, komorę odbili;
Było to dla nich za mało,
Staruszkę schwycili, na ziemię zwalili,
I biorą co pozostało.

Uklękła przed niemi i łzami krwawemi,
Błaga litości starszyzny;
Ci mieczami swemi, nożami ostremi,
Śmiertelne zadają blizny.

Jeden z nich przybieży, — widzi że trup leży,
A więc już panem jest w domu;
Dzikim wzrokiem mierzy, — obnaża z odzieży,
By rychło zbiedz pokryjomu.

Hola bracie, — hola! może widać z pola
Ogień na téj staréj chacie.
Moja taka wola — i kolegów wola,
Że razem wyjdziesz z tąd bracie.

To także być może; — że sługa we dworze,
Wyśledził nasze przybycie;
A jak nocni stróże ujrzą łunę w górze?
Łatwiéjsze będzie przebycie

Pomiędzy tą zgrają; — bo w folwarku mają
Chłopów, barobków do syta;
Niech nas doganiają, lecz nas niepojmają,
My wbród przez rzekę, — i kwita.

Przyszliby z cepami, przyszliby z kijami,
Razem, — to opór stawiemy;
A gdy ze strzelbami staną między nami,
To razem wszyscy zginiemy.

Nie traćmy już czasu, trzeba bez hałasu,
I trzosy napełnić złotem,
Trzeba nam zawczasu uciekać do lasu,
Podział zdobyczy na potém.

Daremnie się radzą, daremnie się wadzą,
Belki pułapu się walą,
Ognie się gromadzą, uciekać nie dadzą,
Ściany chałupy się palą.

Tu zbójcy struchleli, na siebie spojrzeli,
Oczy ku ziemi spuścili.
Śmierć blizką widzieli, — i razem zgineli,
Tak jak przed chwilą mówili.

Już wszystko zgorzało, nic niepozostało,
Znaku z chałupy niebyło;
Lecz łóżeczko stało, a w niém dziecię spało,
Od śmierci się wykupiło.

Tam Anioł-stróż w bieli, tuż obok pościeli,
Osłaniał dziecię skrzydłami;
I wszyscy zdumieli, — bo wszyscy widzieli,
Marylkę między zgliszczami.

CHŁOPIĘ NAWRÓCONE.

Chłopię nawrócone.

Było to roku... którego?... nie pomnę;
Twardą jesienią jadąc przez wieś Promnę,
Spostrzegłem zdala, jak dziecina mała,
Nad samą drogą przy rowie siedziała.
A że dwie mile jechać miałem borem,
Chciałem na nocleg stanąć przed wieczorem.
Gawędzić z chłopcem czasu niestarczyło,
Tém bardziéj, iż się już trochę ściemniło.
Woźnicę śpiocha, szkapę lichą miałem,
Więc ich obudwóch biczem poganiałem.
Z prędkiéj widać jazdy koło się złamało,
Zawiniątko moje na ziemię zleciało.
Wysiadłszy z bryki wnet znalazłem zgubę,
Lecz czasu podróży zgubiłem rachubę;

Nazajutrz przed południem chciałem być w Warszawie,
Przez wypadek z kołem ujrzę ją w oktawie.
Biję się z myślami co począć,... co radzić?
Posłać po kowala, czy go sam sprowadzić.
Alić na szczęście moje chłopiec się nawinął,
Którego'm siedzącego przejeżdżając minął.
Z chęcią w nieszczęściu panu dopomogę,
Znam kowala, wiem do niego drogę.
Kiedyśmy na trzech kołach z biédą dojeżdżali,
Mój przewodnik stanął, i niechciał iść daléj;
Idź pan prosto, a ja za drzewo się skryję,
Nie postąpię kroku, bo tatko mnie zbije.

Pójdź ze mną, — niebój się, — ojca trza przeprosić,
Lepiéj karę otrzymać niźli nędzę znosić;
Małoż to na świecie widziemy przykładów,
Że dzieci nieposłuszne wychodzą na dziadów;
Ten kto ojca niesłucha, nieszanuje matki,
W starości jest nędzarzem, chociaż miał dostatki.
Nie panie, — nie pójdę, — ja się kary boję,
Przeproś go pan za mnie, a ja tu postoję.

Za lichą robotę sowicie'm zapłacił,
Nie chciałem się targować, bo by humor stracił,
A korzystając z chwili, o łaskę go proszę:
By nieodrzucił prośby, jaką doń zanoszę;
Co rzekłszy, — na odpowiedź oczekuję skromnie.
Zmarszczył brwi,—ścisnął dłonie,—i tak rzecze do mnie:
Uczciwego człowieka zrobić z niego chciałem,
Do wszystkich niemal rzemiosł łotra oddawałem,
Lecz chętka do złego coraz większa rosła,
Okradłszy pryncypałów uciekał z rzemiosła.
Ztąd, pretensye i kłótnie z sąsiadami były,
Złe skłonności ojcowskie rady przygłuszyły,
Wypędziłem go wczoraj, — niech co chce się stanie;
Wiem że niémam już syna... jedź z Bogiem mój panie.

Po takiém tedy dictum acerbum,
Po tak stanowczém ojcowskiem verbum,
Co robić myślę: — wziąść go z sobą trzeba,
Trudnoć w tym wieku pozbawić go chleba;
Tém bardziéj, — iż mi duszą, ciałem ręczy,
Że się poprawi, że mi się wywdzięczy.

I tak się stało, — jak to wspomnieć miło,
Że dzisiaj jest dobre, co wczoraj złém było.
Już mu czoło czwartym znaczy się krzyżykiem,
Jest dobrym ojcem, dobrym rzemieślnikiem,
I zdrowe rady czeladzi udziela,
Że tylko w pracy znajdziem przyjaciela.
A kiedy się zejdziem, on z twarzą wesoło,
Błogosławi wypadek, co mi złamał koło.

Kochane dziatki! naukę miłujcie,
Słuchajcie starszych, ich rady szanujcie,
A dobre ziarno siejąc w swéj młodości,
Pożyteczny owoc zbierzecie w starości.

JAK SOBIE KTO POŚCIELE,

tak się wyśpi.

Jak sobie kto pościele, tak się wyśpi.

Nie zawsze to dostatki do szczęścia prowadzą,
Jeżeli źle użyte, to najczęściéj zdradzą.
Opowiem wam dziateczki niedawne zdarzenie:
Syn po śmierci rodziców strwoniwszy swe mienie,
Przez to, że nie umiał pracy ojca użyć,
I niechciał pracować, w karczmie musiał służyć.
Ojciec jego kasztelan, wojak wysłużony,
Od sąsiadów, poddanych powszechnie wielbiony,
Z prawości charakteru w okolicy znany,
Z serca pragnął, — ażeby synalek kochany,
Idąc w ślady rodzica, gdy ten legnie w grobie,
Dobre imie, przyjaciół, umiał zjednać sobie.
Póki był jeszcze dzieckiem, póki matka żyła,
Zwyczajnie tak jak matka, kochała, pieściła

Leonka jedynaka; — lecz niepomyślała,
Że rachunek przed Bogiem ze spraw swych zdać miała.
Albowiem napisano w Jego przykazaniu:
Nasamprzód myśléć o swych dzieci wychowaniu.
Zimowa i jesienna pora śnieżna, dżdżysta,
Niechaj w domu pracuje, to więcéj skorzysta;
W lecie uczyć niemożna, — twierdzą doktorowie:
Iż powietrze wywiera silny wpływ na zdrowie;
A on tak delikatny, przytém osłabiony,
Niemoże być z pod oka matki oddalony.
Słowem, przyjaznéj pory znaleść nie umiała,
Aby go do Warszawy do szkół odesłała.
Tak mijały tygodnie, kwartały, miesiące,
I zimy przeszły śnieżne i lata gorące;
A nasz jedynak, przyszły dziedzic i pan wioski,
Z psem i fuzyjką w ręku dzienne zbijał troski.
O książce, o nauce już ani się śniło,
Pojechać za granicę w głowie się marzyło;
Zwiedzić Francyę, Hiszpaniję, ich ościenne kraje,
Poznać mowę narodów, ich strój, obyczaje.
Że był słabego zdrowia, jak matka twierdziła,
Sama go do kąpieli morskich wyprawiła.

Bywaj mi zdrowa wiosko i rodzinna chatko!
Polecam się opiece twéj najdroższa matko!
Ty wiesz czego ja pragnę, ty znasz moje żądze;
Racz pisać często listy, — w listach ślij pieniądze.
Tak zwodniczém mamidłem w chwili opojony,
Leon rzucał siedzibę dążąc w obce strony.
O jak błędne, fałszywe były te marzenia;
Gdyby ukradkiem zajrzał w księgę przeznaczenia,
Wziął by na się sukmanę, jął w dłonie płużycę,
Wyklął by pewno modną jazdę za granicę.

Minął rok, mijał drugi, zdrowie niewracało;
Cudzoziemskie mu ziarno więcéj smakowało,
Niźli to, które rośnie na ojczystéj ziemi,
Lepiéj było wśród obcych, niźli między swemi.
A tu matka do syna co tydzień pisała, —
Powrotu dziecka swego ze łzami błagała.
Wystawiała na jakie straty narażona
W gospodarstwie, — gdyż będąc chorobą złożona,
Kto chce ten na wsi rządzi, kto niechce niekradnie,

W przypadku śmierci, obcy majątek owładnie;
Że ze schedy ojcowskiéj mało się zostanie,
Jak zaraz niepowróci, — to nic niedostanie.
Taką wiadomość Leon nie przyjął radośnie,
Ale myśli: — wszak zboże i bezemnie rośnie;
Matka powrotu tylko wymaga odemnie,
Teraz jechać niemogę, — albowiem bezemnie
Całe me towarzystwo dziś by się nudziło,
A zresztą, — gospodarstwo już się uprzykrzyło.
Upływa trzy tygodnie od tego wypadku;
Odbiera on list z poczty, a przy nim w dodatku
Dwa tysiące dukatów; — zarazem zlecenie:
Ażeby do dziedzictwa nadesłał zrzeczenie.
Łatwo przyszły grosiki, łatwiéj się rozeszły,
Pośród miłéj zabawy dwa miesiące zeszły.
Gdy już dopiekła biéda i rozum mu wrócił,
Wtedy młody wojażer do kraju powrócił.
Nienawykły do pracy, nie wiedział co radził,
Z zawiniątkiem pod pachą do wsi się sprowadził.
Kiedy przyszedł do swoich, swoi niepoznali,
Był panem, oni biedni panami zostali.
Tam nabytych zdolności nieumiejąc użyć,

Jak już wam powiedziałem, w karczmie musiał służyć.
To rzeczywista prawda, — chciéjcie mi zawierzyć,
Że dawnym chłopom swoim wódkę musiał mierzyć.

Jaskółka.

Witaj nam, witaj luba ptaszyno!
Zapewne wiosnę prowadzisz z sobą,
Zarówno tęschnisz za tą krainą,
Któréj mieszkańce tęschnią za tobą.

O! jakże smętne, przykre bez ciebie,
Bywały dla nas zimy miesiące;
My wzrok bez przerwy topili w niebie,
Rychło zawita lato gorące.

Powracasz dzisiaj w rodzinne strony,
Gdzieś młoda — w pierwsze piórka porosła;
Lecz biada tobie! — domek zniszczony,
Ten domek, coś go rok temu wzniosła.

Jak przykre z losem widzisz spotkanie,
Kiedy nie jedna z przyjaciół twoich,
Na swoję dawne legnie posłanie;
Ty dziś tułaczką jesteś wśród swoich.

Lecz się niezrażaj, wszak złe przeminie,
Bóg w nowéj pracy pobłogosławi;
Już na rok przyszły domek nie zginie,
Ręka go moja od ruin zastawi.

Pod moją strzechę leć jaskółeczko!
Drapieżnych zwierząt uchodź pogoni;
Pod mojém oknem ulep gniazdeczko,
Tam go od skwaru cień drzew zasłoni.

Tam u mnie znajdziesz prawie do zbytku,
Czystego ziarna zawsze dostatek;
Kryniczną wodę codzień w korytku,
I świéże ziele i wonny kwiatek.

Wszystko'm dla ciebie dziś ponieść gotów,
Odstąpię nawet połowy chatki,
By z twojéj pracy, z twoich przymiotów,
Brały przykłady małe me dziatki.

WYBÓR ZIEMOWITA NA KRÓLA.

Wybór Ziemowita na Króla.

Zbierzcie się tu dziatki, w koło mnie siadajcie,
Chcieliście historyi, — to jéj posłuchajcie:
Bajeczna ona wprawdzie z samego początku,
Ale znając ciąg dalszy, trzeba szukać wątku.
W stolicy zwanéj Gnieznem, Popiel był książęciem,
Pan Bóg go obdarzył nie jedném dziecięciem.
Obrządek, który dzisiaj nazywamy chrzciny,
U pogan nosił wówczas nazwę postrzyżyny.
Rodzice narodzonych z téj okoliczności,
Wydawali ucztę, zapraszali gości;
Równie się weselili przy tych postrzyżynach,
Jak my się dzisiaj bawiemy na chrzcinach.
Piast i żona Rzepicha byli ludzie prości,

Na postrzyżyny syna nie spraszali gości;
Oboje jeszcze młodzi, nie w zamożnym stanie,
Takie dali przyjęcie, jak starczyło na nie.
Nikt nie był proszon obcy, sami przyjaciele,
Chętnie się tém dzielili, choć mieli niewiele.
Niebyło wprawdzie zbytku, niebyło i głodu,
Jeden tylko wieprzaczek i antałek miodu.
Dwaj nieznajomi goście przybywszy z granicy,
Widząc jakieś zebranie u księcia w stolicy,
Przyszli na postrzyżyny; — lecz że nieproszeni,
Z rozkazu pana za drzwi byli wypędzeni.
Z rozgniewaném obliczem dom ten opuścili,
A znużeni podróżą do Piasta wstąpili.
„Gość w dom, Bóg w dom“ mówiło przysłowie:
Raczcie spocząć pod strzechą szanowni kumowie;
Piast kołodziéj wraz z żoną przed nich wystąpili,
I na postrzyżyny syna poprosili.
Nadspodziewanym cudem Bozkiéj opatrzności,
W trzykroć się powiększyło przyjęcie dla gości.
Tém, co przed chwilą dla nich ledwie by starczyło,
Późniéj się całe miasto daniem ugościło.
Wtedy dwaj nieznajomi z rodziców życzeniem,

Postrzygli syna Piasta, Ziemowit imieniem.
Sami cnotliwi, dziecię w cnocie wychowali,
Gdy dorósł, ziemskie stany księciem go obrali.

Inna jeszcze historya o tym Ziemowicie; —
Bądźcie tylko uważni, to ją usłyszycie.
Tysiąc szesnaście temu podobno lat płynie,
Jak niegdyś w tak nazwanéj Kruszwickiéj krainie,
Niezgodne z sobą stany w ten sposób radzili,
Jak wybrać sobie rządzcę, by szczęśliwi byli.
„Kogo z téj strony Gopła pierwszego ujrzemy,
„Tego sobie za pana, — króla obierzemy;
„Ten wybór będzie trafny, będzie zesłan z nieba,
„Lecz niewiasty i dzieci wyłączyć nam trzeba.“
Piast miał pszczólnik na jednéj, zaś własne mieszkanie
Z drugiéj strony jeziora, zobaczył zebranie
Jakieś na lądzie, kontent że się zgromadzili,
Wié, — że zbędzie swój miodek, wié że będą pili.
Lecz jakież zadziwienie? gdy massa zebrana,
Otacza go do koła, pada na kolana,
Nieznanego bartnika panem swoim głosi,

I do godności Króla Polskiego wynosi.
Piast był człek pracowity, dbały i cnotliwy,
Panował dosyć długo, naród był szczęśliwy.
Następnie zaś Ziemowit po rodzica skonie,
Za jednomyślną zgodą siadł na ojca tronie.

Krzyż przy drodze.

Powiédz mi mamo kochana,
Co znaczy ten krzyż przy drodze,
Obok mieszkania plebana?
Ilekroć tylko przechodzę,

Parobek, gospodarz rolny,
Bez względu młody, czy stary,
Nawet pastucha swawolny
Klęknie; — i czyni znak wiary.

Pomnę, — było to w niedziele,
Wyście matko jeszcze spali,
Żywy duch nie był w kościele,
A już pod krzyżem śpiewali.

Tam moja chrzestna z córkami,
Co tchu wianki z ruty wiły,
I bzowemi gałązkami,
Ramiona krzyża wieńczyły.

Słowem, wszyscy z naszéj wioski,
Kiej na odpust zgromadzili,
Jak by tam był ołtarz Bozki,
By się na polu modlili.

Pan Bóg przytomny jest wszędzie,
Z nauki proboszcza wiemy;
Pacierz nasz przyjęty będzie,
Jeśli się szczerze modlemy,

Czy to w ozdobnéj świątyni,
Czy w pałacowéj komnacie,
Czy w pustelniczéj jaskini,
Czy w biédnéj włościańskiéj chacie.

Czy krzyż złotem malowany,
Ozdobion w drogie kamienie,
Czy z pnia ścięty, ociosany,
U Boga w jednéj jest cenie.

Szczęśliwy, — jeśli bogaty,
Że kruszec na ołtarz niesie;
My biédni strojmy go w kwiaty,
Które Bóg posadził w lesie.

Może ostatnie ofiary,
Jeżeli z serca pochodzą,
Przez dumę czynione dary,
Wartością swoją przechodzą.

Jedno tylko zawołanie,
Jeżeli szczerze wzniesiemy,
Za tysiące modłów stanie,
Gdy się bez skruchy modlemy.

Masz jawny dowód na sobie,
Że zaufanie utraca,
Ten, kto raz zawini tobie,
I do dawnych błędów wraca.

Życie podobne do wody,
I jak woda szybko płynie,
Jak błyskawica wiek młody,
Niepostrzeżony przeminie.

Bierz z zacnych ludzi przykłady,
Bądź bogobojny, uczciwy,
Korzystaj z każdéj ich rady,
A pewno będziesz szczęśliwy.

BIBLIOTEKA NARODOWA

BIBLIOTEKA NARODOWA
39106